

Henry Kuttner

KSIĘGA IODA

Henry Kuttner Sekret Kralitzów

Obudziłem się z głębokiego snu i zauważyłem dwie, stojące tuż obok postacie spowite w czerń. Ich twarze jaśniały w mroku rozmazaną bielą. Zamrugalem gwałtownie, żeby spędzić sen z oczu, a wtedy jedna z nich skinęła niecierpliwie. W tej samej chwili zrozumiałem, co było powodem nocnej wizyty. Oczekiwałem jej całe lata, od czasu, gdy mój ojciec, baron Kralitz, zdradził mi sekret i klątwę ciążyącą nad naszym starym rodem. Wstałem bez słowa i poszedłem za milczącymi posłańcami, w głąb smętnych korytarzy zamku, który od urodzenia był mi domem. W czasie wędrówki wspomniałem surową twarz ojca, w uszach zabrzmiały mi uroczyste słowa, którymi opisywał legendarną klątwę rodu Kralitzów, tajemnicę, jaką we właściwym czasie z pokolenia na pokolenie powierzano najstarszemu z synów. – Kiedy? – spytałem ojca, gdy leżał na łożu śmierci, walcząc z narastającą słabością. – Gdy zdołasz pojąć – odparł. Patrzył na mnie uważnie spod zmierzwionych białych brwi. – Byli tacy, co doświadczyli tego wcześniej niż inni. Od pierwszego barona Kralitza przekazywano sekret... Przycisnął dłoń do piersi i przerwał. Upłynęło pełne pięć minut, zanim na tyle zebrał siły, by na nowo przemówić dźwięcznym, władczym głosem. Żadnych jęków, ni wyznań czynionych urywanym szeptem. Był Kralitzem. – Franz... – odezwał się w końcu. – Znasz ruiny starego klasztoru w pobliżu wioski. Pierwszy baron kazał go spalić, a mnichów posłał pod topór. Opat zbyt często sprzeciwiał się kaprysom wielmoży. Jakies dziewczę szukało schronienia w klasztorze i opat nie zgodził się jej wydać. Baron stracił cierpliwość – słyszałeś opowieści, jakie wciąż o nim prawią – zabił opata, spalił klasztor i wziął dziewczynę. Opat przed śmiercią przeklął swego zabójcę i wszystkich męskich potomków następnych generacji. I tak narodziła się tajemnica, dotycząca naszego rodu. Nie mogę zdradzić, czym jest klątwa. Nie próbuj szukać wyjaśnienia na własną rękę. Czekaj cierpliwie, a we właściwym czasie strażnicy mroku poprowadzą cię schodami do podziemnej jaskini. Tam poznasz sekret Kralitzów. Z ostatnim słowem ojciec wyzionął ducha i surowe rysy jego posępnej twarzy zastygły na wieki. Zatopiony we wspomnieniach nie zwracałem uwagi gdzie idę, ocknąłem się dopiero, gdy ciemne sylwetki posłańców zamarły tuż przed szczeliną w kamiennej posadzce, odsłaniającą zejście, którego nie widziałem w czasie wcześniejszych wędrówek po zamku. Stopnie wiodły w głąb podziemi. Gdy zaczęliśmy schodzić, zauważyłem, iż tunel był oświetlony – wątła, fosforyzująca poświata płynęła z nieznanego źródła i skłonny byłem uwierzyć, że to moje oczy przywykły do półmroku, niż że mam do czynienia z prawdziwym blaskiem. Szliśmy już bardzo długo. Sztolnia skręcała i wiła się w litej skale, i tylko dwie ruchome postacie przede mną rozpraszały monotonię tej smutnej wędrówki. Wreszcie, głęboko pod ziemią, dotarliśmy do końca schodów i zerknąwszy nad ramionami moich towarzyszy, dostrzegłem ogromne drzwi, zagradzające dalszą drogę. Były topornie wykute z jednego głazu i pokryte dziwnie niepokojącym wzorem, ułożonym z nieznanym mi znaków. Po chwili stanęły otworem. Wszedłem i zatrzymałem się tuż za progiem, wbijając wzrok w siwy ocean mgły. Stałem na łagodnym zboczu, które tonęło w oparach, a z dali dobiegały stłumione pohukiwania i wysokie, piskliwe wrzaski, przywodzące na myśl obsceniczny śmiech. Mroczne, niewyraźne kształty tańczyły i znikały za szarą zasłoną, a ogromne cienie szybowały na gigantycznych skrzydłach nad moją głową. Tuż obok mnie stał długi, prostokątny stół z kamienia, przy którym siedziało dwudziestu mężczyzn, wlepiających we mnie martwo połyskujące spojrzenia głęboko osadzonych oczu. Dwaj przewodnicy w milczeniu zajęli miejsca wśród pobratymców. Nagle, gruba zasłona mgły zaczęła rzednąć. Chłodny powiew zmiotł resztki oparów. Zobaczyłem tonący w mroku odległy koniec jaskini i znieruchomiałem, w potężnym uścisku strachu, pomieszanego z równie silnym, nieskończenie podniecającym uczuciem rozkoszy. Część umysłu

pytała: „Co to za koszmar?”, druga zaś podpowiadała szeptem: „Znasz to miejsce!” Nie. Nie widziałem go nigdy. Gdybym wiedział, co kryją podziemia zamku, nie mógłbym zasnąć, owładnięty obsesyjną bojaźnią. Podczas gdy tak stałem, targany sprzecznymi falami zgrozy i ekstazy, wokół mnie kłębił się tłum upiornych mieszkańców owego świata. Diabły, demony, nienazwane monstra! Koszmarny kolos przemknął przez mrok z głuchym rykiem, a szare, bezpostaciowe stwory, niczym olbrzymie ślimaki wędrowały na słupowatych nogach. Strzępy miękkiej, bezkształtnej masy, upstrzone, niczym mityczny Argus, tysiącami gorejących oczu, wierciły się i kręciły w złowrogiej poświacie. Uskrzydłone bestie – nie były to nietoperze – z łopotem i szumem latały w ciężkim powietrzu i syczały coś szeptem – całkiem ludzkimi głosami. W dali, u stóp zbocza, na którym stałem, zobaczyłem chłodny błysk wody skrytego przed promieniami słońca jeziora. Stwory, na szczęście niewidoczne w mrocznej oddali, z wrzaskiem, burzyły taflę zatoki, której wielkości i kształtu mogłem się ledwie domyślać. Latające monstrum zwiesiło błoniaste skrzydła niczym namiot nad moją głową, zerknęło na mnie palącym spojrzeniem, po czym pomknęło dalej, niknąc w cieniu. Przez cały czas, choć drżałem z przerażenia i wstrętu, towarzyszyło mi owo uporczywe poczucie radości – głos, który szeptał: „Znasz to miejsce! Stąd przecież pochodzisz! Czy to źle wrócić do domu?” Obejrzałem się. Wielkie drzwi zatrzasnęły się cicho, odcinając mi drogę ucieczki. Pomocne okazało się poczucie dumy. Byłem Kralitzem. A żaden Kralitz nie okaże strachu nawet przed obliczem diabła!

Postąpiłem krok naprzód i popatrzyłem na postacie, które nadal siedziały za stołem, z napięciem wpatrując się we mnie płonącymi oczyma. Odepchnąłem straszliwą myśl, że oto stoję przed zgromadzeniem bezcielesnych szkieletów, podszedłem do szczytu stołu, gdzie wznosił się prymitywny tron, i przyjrzałem się z bliska milczącej sylwetce po prawej stronie. Zamiast nagiej czaszki, moim oczom ukazało się upiornie blade, brodate oblicze. Pełne, zmysłowe usta błyszczały szkarłatem, niczym uszmińkowane, a martwe źrenice nieruchomo patrzyły w moją stronę. Ślad nieludzkiego cierpienia wrył głębokie piętno na białej twarzy, a w zapadłych oczach czaiła się męka. Żaden opis nie oddałby wrażenia nieziemskiej obcości, jaką odczuwałem równie mocno, jak mdlący smród grobu, bijący z ciemnej szaty. Strażnik skinął spowitą w czerń ręką w stronę pustego miejsca na szczycie stołu. Usiadłem. Upiorne odczucie nierzeczywistości! Wydawało mi się, że śnię, że ukryta część mojej jaźni z wolna wkracza z krainy marzeń do realnego świata, aby przejąć władzę nad moim zachowaniem. Stół był zastawiony starożytnymi pucharami i półmiskami, jakich nie używano już od stuleci. Na półmiskach leżało mięso, zdobne klejnotami kielichy były pełne czerwonego wina. W nosie wiercił ciężki, przytłaczający zapach, pomieszany z trupim odorem mych towarzyszy i spleśniałą wonią mokrej, pozbawionej światła piwnicy. Wszystkie wyblakłe twarze zwróciły się w moją stronę, twarze, które nie wiedzieć czemu wyglądały dziwnie znajomo. Niemal identyczne, o krwistych, pełnych ustach, naznaczone niebywałym cierpieniem. Czarne, gorejące oczy wpatrywały się we mnie niczym niezgłębiona otchłań Tartaru, aż poczułem, że włos zjeżył mi się na karku. Mimo wszystko – byłem Kralitzem! Wstałem i dumnym głosem przemówiłem archaiczną niemieczyzną, która jakoś bez trudu popłynęła przez moje usta: –

Jestem Franz, dwudziesty pierwszy baron Kralitz. Czego ode mnie oczekujecie? Pomruk aprobaty przetoczył się nad stołem. Zapanowało poruszenie. Z drugiego końca uniósł się brodaty olbrzym z okrutną blizną, która zmieniała mu lewą stronę twarzy w przerażająco biały strzęp z trudem zagojonego mięsa. Znowu odniosłem znajome wrażenie – gdzieś już widziałem tego człowieka – choć panujący półmrok uniemożliwiał mi dokładną identyfikację. – Witaj, Franz – odezwał się olbrzym starym, gardłowym, germańskim narzeczem. – Witaj, baronie Kralitz. Pozdrawiam cię – i wszystkich

członków twego rodu! Podjął kielich ze stołu i uniosł go wysoko. Spowite w czerń postacie wstały z krzeseł i poszły za jego przykładem, wznosząc bogato zdobione puchary i powtarzając słowa toastu. Każdy pociągnął głęboki łyk zanego trunku. Złożyłem stosowny ukłon. –

Pozdrawiam was, strażników tajemnicy Kralitzów – powiedziałem niemal bezwiednie. – Pozdrawiam i przepijam do was. Wokół, nawet w najdalszych kątach mrocznej jaskini, zapanowała cisza. Umilkły szepty, pohukiwania i natrętny szelest latających stworów. Postacie, zgromadzone wokół stołu, wyczekująco patrzyły w moją stronę. Uniosłem kielich i wypilem. Trunek był mocny, orzeźwiający, o lekko słonawym smaku. Nagle pojąłem, czemu cierpiętnicza, szpetna twarz mego gospodarza wydawała mi się dziwnie znajoma. Po wielokroć miałem okazję oglądać ją wśród portretów przodków. Poprzez mrok gigantycznej sali spoglądała ku mnie groźna i zniekształcona postać pierwszego z rodu Kralitzów. Ten sam jasny błysk zrozumienia pomógł mi rozpoznać resztę biesiadników, których wizerunki również widywałem na płótnie. Ale jakże wielka zaszła w nich zmiana! Piętno wiecznego zła, niczym niewidzialna zasłona, przylgnęło do ich umęczonych twarzy, do tego stopnia deformując rysy, że nie byłem do końca pewien, czy dobrze odgaduję tożsamość danej osoby. Wydawało mi się, iż jedno z bladych, sardonicznych oblicz należało kiedyś do mego ojca, choć uległo tak monstrualnej przemianie, że mogłem polegać wyłącznie na domysłach. Ucztowałem z własnymi przodkami – z domem Kralitzów! Nadal trzymałem puchar. Opróżniłem go aż do dna, spodziewając się równie smętnego rozwiązania. Dziwny żar wypełnił mi żyły i wybuchnąłem głośnym śmiechem, wywołanym okrutną radością. Zawtórowali mi inni – gardłowym rechotem, przypominającym warczenie wilków. Bolesny śmiech ludzi rozpiętych na kole tortur, opętańczy chichot mieszkańców piekieł! Z mrocznej groty doleciał jazgot diabelskiego pomiotu. Olbrzymie cienie, wysokie na parę piędzi, chwiałały się wśród grzmiących ryków, w górze, z chytrym piskiem, zawirowały skrzydlate stwory. Gigantyczna jaskinia huczała straszliwą uciechą, aż wpół ukryte monstra z czarnego jeziora odpowiedziały rozdzierającym uszy wrzaskiem, a echo zadudniło pod niewidocznym sklepieniem. Śmiałem się razem z nimi, śmiałem do rozpuku, w końcu bezsilnie opadłem na fotel i popatrzyłem na oszpeconą postać po drugiej stronie stołu. – Godzien jesteś naszej kompanii i biesiady przy naszym stole – przemówił baron. – Wspólny toast uczynił cię jednym z naszych. Jedźmy razem. I tak się stało. Jak stado wygłodniałych bestii rwaliśmy soczyste białe mięso, leżące na zdobnych półmiskach. Usługiwały nam dziwne stwory, w pewnej chwili, poczułem zimny dotyk na ramieniu, odwróciłem się i ujrzałem jak dolewa mi wina okropna, purpurowa postać, wyglądająca jak dziecko odarte ze skóry. Straszna, straszna i nieskończenie bluźniercza była to uczta. Wrzaski, śmiech i mlaskanie wypełniały ciemną jaskinię, a wokół nas harcowały piekielne hordy. Zaiste, było piekło pod zamkiem Kralitzów, a tej nocy diabeł urządził karnawał.

Potem odśpiewaliśmy dziką, pijacką pieśń, wymachując do taktu kielichami. Stara to była pieśń, ale obce słowa nie sprawiały mi żadnej trudności; wymawiałem je równie gładko, jakbym słuchał ich już w dzieciństwie, usadowiony na kolanach matki. Myśl o matce sprawiła, że zadrzałem i owładnęła mnie nagła słabość, lecz szybko ją przepędziłem nowym łykiem ciężkiego wina. Długo, długo okrzyki, pieśni i żarty krążyły po ogromnej grocie, aż wreszcie odeszliśmy od stołu i wąskim, łukowato wygiętym mostem podążyliśmy na drugi brzeg jeziora. Nie opowiem, co tam zastałem ani nie podam imion wszystkich istot, jakie mi przyszło oglądać. Wspomnę tylko, że usłyszałem o nieziemskich grzybach, zamieszkujących odległy, zimny glob Yuggoth i o cyklopowych stworach, czuwających nad rozbudzonym Cthulhu w podmorskim mieście. Dowiedziałem się o dziwnych rozkoszach, dostępnych wyznawcom oślizłego Yog-Sothotha i poznałem niewiarygodny kult, jakim w

innych galaktykach otoczony jest lod, Źródło. Zanurzyłem się w najczarniejszej otchłani piekła i wróciłem stamtąd ze śmiechem. Byłem jednym z czarnych strażników i wspólnie z nimi szalałem w upiornych saturnaliach, aż ponownie przemówił baron o przeciętej blizną twarzy. –

Nasz czas mija – oświadczył. Oszepeczone, brodate lico połyskiwało w półmroku niczym pysk chimery. – Wkrótce się rozstaniemy. Ale ty, Franz, jesteś prawdziwym Kralitzem i czeka nas jeszcze niejedna wspólna uczta. Będziem pić i weselić się dłużej niżli myślisz. Ostatni toast! Chwyciłem kielich. – Za ród Kralitzów! Oby trwał wiecznie! Wówczas opadła mnie dziwna niemoc. Wraz z innymi odwróciłem się tyłem do groty pełnej roztrzęsionych, jęklanych i pełzających cieni i wyszedłem przez kamienny portal. Szliśmy po schodach, w górę, wciąż w górę, aż dotarliśmy do dziury ziejącej w posadzce, a potem dalej, milczącą, smętną kompanią, w głąb równie smętnych korytarzy. Z wolna zacząłem rozpoznawać otaczające mnie mury. Już wiedziałem, gdzie jestem. Znaleźliśmy się w wielkim lochu pod zamkiem, gdzie z uroczystym ceremoniałem składano zwłoki kolejnych baronów. Każdy z rodu spoczywał w kamiennym sarkofagu, w oddzielnej krypcie, a każda z krypt przylegała do następnej, niczym paciorki naszyjnika. Szliśmy od tyłu, od najstarszych grobów, w stronę nie zajętych jeszcze pomieszczeń, gdyż od zarania wieków część krypt stała pusta, w oczekiwaniu na chwilę, w której kamienna trumna, opatrzona odpowiednią inskrypcją, trafiała na swoje miejsce. Nic dziwnego, że tu właśnie ukryto tajemnicę Kralitzów. Nagle spostrzegłem, że z moich towarzyszy pozostał tylko najstarszy, ten o przeciętej blizną, brodatej twarzy. Pochłonięty myślami, nie widziałem dokąd odeszli pozostali. Mój przewodnik uniósł czarno odzianą rękę i nakazał mi stanąć. Popatrzyłem nań pytającym wzrokiem. – Muszę cię już opuścić – wyjaśnił dźwięcznym głosem. – Wracam do siebie. Wskazał w stronę, z której nadeszliśmy. Skinąłem głową, gdyż wiedziałem, kim byli moi współbiesiadnicy. Domyśliłem się, iż każdy baron Kralitz, spoczywający w kamiennym grobie, wstaje jako nieziemski stwór, ni to martwy, ni to żywy, aby zejść do podziemnej jaskini na demoniczne saturnalia. Pojąłem także, że wraz z nadejściem świtu musieli wracać na swe zimne leże i czekać w przypominającym śmierć transie, aż zmierzch przyniesie im krótkie wyzwolenie. Studia nad okultyzmem, jakie uprzednio prowadziłem, sprawiły, że umiałem rozpoznać oznaki upiornej przemiany. Pokłoniłem się czarno ubranej postaci i już chciałem ruszyć dalej, w górne rejony zamku, gdy mój towarzysz zagroził mi drogę. Z wolna potrząsnął głową, a jego blizna błysnęła bielą w skąpej poświacie. – Za wcześnie, bym odszedł? – spytałem. Spojrzał na mnie zbolalym, gorejącym wzrokiem, oczami, które nieraz patrzyły w głąb piekła i wskazał w dół, a wówczas w nagłym przeblasku przerażenia odkryłem sekret klątwy Kralitzów. Myśl ta zmieniła mi umysł w rozpaczliwą pustkę, w której już po wsze czasy miały wirować krzyczące strzępy ciemności. Pojąłem, kiedy każdy baron Kralitz zawierał braterstwo krwi. Wiedziałem – wiedziałem – że żadna trumna nie trafia pusta do podziemnej krypty, a na leżącym u mych stóp kamiennym sarkofagu mogłem odczytać wyrok losu. Moje własne imię: „Franz, dwudziesty pierwszy baron Kralitz”.